

- Wszystko zaczęło się w małych Wadowicach...

- Mój pierwszy występ miałam w wieku 5 lat, gdy zostałam wręcz wypchnięta przez nauczycielkę na scenę, żeby powiedzieć monolog pajaca zakochanego w lalce. Mimo że wszystko dobrze umiałam, tego strachu nie zapomnę do końca życia. A potem był teatr szkolny w gimnazjum w Wadowicach. Graliśmy bardzo dużo, a naszymi scenicznymi partnerami byli koledzy z męskiego gimnazjum.

- Wśród nich uczeń, Karol Wojtyła?

- Grał Kirkora, Hajmona i Gucia, gdy ja występowałam jako Balladyna, Antygonia i Aniela. Zawsze chciałam być aktorką, ale ojciec zasugerował polonistykę uważając, że powinienem zdobyć ogólne humanistyczne wykształcenie. Nasz szkolny teatr był naprawdę do dobrym poziomie, a największym osiągnięciem były „Śluby panieńskie”, w których Karol Wojtyła jako Gucio był wprost urokliwy.

- Czy wyróżniał się talentem aktorskim?

- Na pewno, dlatego zawsze grał główne role i dla wszystkich było oczywistością, że jego przyszłość to teatr. Był smukły, przystojny, o bardzo pięknym głosie - miał idealne warunki aktora. Między nami istniała nawet drobna rywalizacja. Kiedyś wygrałam konkurs recytatorski, na którym Wojtyła deklamował „Promethidion” - zresztą znakomicie i to on powinien być zająć pierwsze miejsce. Pamięta to do dziś, bo kiedy spotykamy się, to żartem grozi mi palcem i śmiejąc się, mówi: „Tyś mnie pokonała”. Potem spotkaliśmy się na polonistyce na Uniwersytecie Jagiellońskim. To był fantastyczny rok: Tadek Hołuj, Wojtek Żukrowski, Julek Kydryński, Kryścia Zbijewska, Janka Garycka, Jurek Bober i Tadeusz Kwiatkowski - mój przyszły mąż.

- Po wybuchu wojny wróciła Pani do Wadowic?

- Ukończyłam tam różne kursy, m.in. zecerki i krawiecki. Stąd też potrafię wszystko uszyć. W Wadowicach wytrzymałam tylko rok, a to dzięki wizytom u rodziny Kotlarczyków, gdzie panował niebywały wręcz duch patriotyzmu i nadziei na szybko wygrana wojnę. Wtedy też zaprzyjaźniłam się z Mietkiem Kotlarczykiem i przewoziłam mu te słynne listy od przyjaciela Karola Wojtyły, w których zrodziła się idea Teatru Słowa. Gdy brat Mietka został zamordowany, wówczas Wojtyła przygarnął Kotlarczyków do swojego małego mieszkania na Tynieckiej w Krakowie.

- I tam właśnie odbywały się pierwsze próby Teatru Słowa?

- W jego suterenie, którą nazywaliśmy katakumbami. Ja też mieszkalam już w Krakowie. Przez całą okupację zmieniałam mieszkanie osiem razy. Niemcy za każdym razem wyrzucali mnie i ja z ogromną walizką wędrowałam z miejsca na miejsce. Studiowałam na tajnym uniwersytecie i utrzymywałam się z dawania lekcji na tajnych kompletach. Wiem, co to bieda; uczyłam za obiady, kolacje, żeby przeżyć. Stopniowo zdawałam kolejne egzaminy, no i oczywiście współtworzyłam zespół rapsoedyków z Kotlarczykiem, Wojtyłą, Danką Michałowską i Krystyną Ostaszewską.

- 60 lat temu, 1 września 1941 r., stanęła Pani po raz pierwszy na scenie Teatru Rapsodycznego w „Królu Duchu”.

- To był pierwszy spektakl, a w ciągu całej okupacji, dali-

śmy 7 premier - wszystkie urodziły się na Tynieckiej. A premiery dawaliśmy w krakowskich salonach, u przyjaciół. Oczywiście wszystkie odbywały się w konspiracji. Mimo lęków, obaw i niebezpieczeństw wspominam te czasy z zachwytem, bo wtedy tak bardzo wierzyliśmy w sens tego, co robi-

łam też, gdy Szajna w sztuce Witkacego założył mi na głowę perukę z taśm filmowych. Lubiłam, kiedy zmieniano moją fizyczność. Zdarzył mi się nawet striptiz w „Apelacji Villona”, naturalnie w cielistym trykocie z wymalowanymi przez Jurka Skarzyńskiego sutkami. W „Skandalu w Hellbergu” ro-

my, które mi polecają. Zajęcia w szkole zaczęłam od przedmiotu: „Piosenka”. Potem był „Wiersz”, „Proza”, „Kultura bycia” i „Wymowa”. Nie opuściłam ani jednego wstępnego egzaminu i z dumą patrzę na dokonania niektórych moich wychowanków: Ewy Dańkowskiej, Janka Peszka, Jurków: Trel-

kończenie urządziłam u mnie w domu spotkania, tzn. moje duże mieszkanie oddawałam im do dyspozycji, a oni organizowali wieczory z wybranymi artystami: Jankiem Nowickim, Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Jurkiem Radziwiłowiczem i Andrzejem Wajdą. Zwykle o 3 nad ranem musiałam towarzyszyć

- Poznała Pani wiele znakomitości: Petera Brooka, Johna Gielguda, Gerarda Philipe' a.

- Z Brookiem poznałam się po jego występach w Warszawie. Chciał zobaczyć Kraków, ale nie było żadnego wolnego miejsca w hotelu, więc zaprosiłam go na kilka dni do siebie do domu. Z ciekawością obserwowałam jego „przyglądanie się” naszemu, dość wówczas egzotycznemu krajowi. Johna Gielguda z kolei poznałam w Anglii. Po jego spektaklu poszłam z greckim aktorem za kuliszy, żeby pogratulować Gielgudowi roli. Zobaczyłam niebywałe wytwornego pana w eleganckiej dyplomatce, trzymającego w ręce laseczkę z gałką z kości słoniowej. Zaprosił nas do garderoby na kawę, rozmawialiśmy i wreszcie spytał: „a pani, jaką ma do mnie sprawę?”. Był przekonany, że ja do niego przyszedłam „w interesie”, gdyż znany był ze swych koneksji z polskimi rodzinami w Londynie. Ja na to wyjęłam glinianego, kolorowego, pięknego koguta z krakowskiej Cepelii i wręczyłam mu jako podziękowanie za rolę, jedyny „interes”, jaki do niego miałam. Muszę przyznać, że go mocno zaskoczyłam. Po spotkaniu odwiózł mnie swoim rolls-roycem do hotelu, którego właściciel - Polak - tak był zdumiony moją znajomością z wielkim Gielgudem, że powiedział: „od jutra może pani w moim hotelu prasować wszystko za darmo”.

- A Gerard Philipe, pogromca kobiecych serc?

- Wręczałam mu kwiaty po jego krakowskich występach. Wziął mnie pod łokieć, zaproponował za kuliszy i darował zdjęcie z podpisem. Emanowało z niego tak niebywałe ciepło, że trudno to opisać. Drugi raz poczułam się podobnie, gdy na planie „Popiołu i diamentu” Zbyszek Cybulski przybiegł do mnie, ukląkł, położył głowę na moich kolanach i wypytywał o Kraków. Po uścisku Gerarda Philipe'a kochałam się w nim przez trzy następne dni. Długo mogłabym wspominać spotkania z różnymi wspaniałymi ludźmi, których poznałam.

- Osobny rozdział stanowią zjazdy maturalne u Ojca Świętego.

- Wspólne obiady, spacer, koncerty, wspomnienia Wadowic - nie da się opisać, jak bardzo wszyscy to przeżywamy. Ale i papieżowi jest chyba z nami dobrze, bo zawsze ma dobrego humor, jest rozluźniony, żartuje.

- Życie nie skąpi Pani mocnych wrażeń i wspaniałych przeżyć.

- Jestem na nie otwarta, chłonę ludzi i staram się ze wszystkich spotkań czerpać dla siebie siłę i naukę. Moje akumulatory ładuje ciekawość świata. A tej chyba nigdy mi nie zabraknie.

- Okrąga rocznica urodzin, 40 lat pracy pedagogicznej i jubileusz 60-lecia pracy twórczej - aż nie chce się wierzyć, gdy widzi się Pani witalność, aktywność zawodową i towarzyską.

- Może to zabrzmiało banalnie, ale siłę daje mi nieustanna ciekawość ludzi, zdarzeń, zawodu, świata. To, co nieznanne, pobudza moją ciekawość i wyobraźnię. Przez całe życie bardzo ciężko pracowałam i to w różnych dziedzinach. Wchodziłam na swoją życiową „górkę”, sprawdzałam, jak na niej jest i zaraz obok pojawiała się nowa, nieznaną, na którą trzeba było wejść. Trwa to do dzisiaj.

9 kwietnia Jubilatka wystąpi jako Pani Pać w sztuce „Sześć postaci szuka autora” w krakowskiej PWST.

my. Mimo biedy i czasem głodu, a zdarzyło mi się kiedyś przez trzy dni nic nie jeść, byliśmy na swój sposób szczęśliwi. Na spektakle przychodzili ludzie znajomi, tak więc nigdy nie zdarzył się żaden donos. Karol Wojtyła przerwał polonistykę i poszedł na teologię, lecz dogrywał we wszystkich przedstawieniach. Ostatnią naszą premierą był „Samuel Zborowski”.

- Rok 1945 był dla Pani szczęśliwy nie tylko z powodu zakończenia wojny.

- Wyszłam za mąż i razem z Tadeuszem zamieszkaliśmy w Domu Literatów na Krupniczej. Cóż to był za dom! Jacy ludzie tam mieszkali!

- Życie kulturalne kwitło?

- Raczej towarzyskie, bo byliśmy po wojnie głodni zabawy, radości, bez troski. Graliśmy w przeróżne intelektualne gry, np. w szarady teatralne, które wymyśliła George Sand. Alkohol było mało, bo byliśmy zbyt biedni. Były oczywiście tańce i soboty literackie w stołówce.

- Wkrótce odeszła Pani z Teatru Rapsodycznego. Dlaczego, przecież działo się w nim tyle ważnych artystycznych spraw?

- Ciągnęło mnie do normalnego teatru. Słowo mi już nie wystarczało. Byłam sezon w Teatrze TUR, a w 1947 r. przeszłam do Teatru im. Słowackiego. Nie była to łatwa decyzja, bałam się o niej wiedzieć Mietkowi, aż wreszcie zdecydowałam się: na gościnnych występach rapsodyków robiłam w hotelu pożegnalne przyjęcie - z truskawkami i bitą śmietaną. W teatrze Słowackiego grałam sporo. Tam też zaczęłam się z nim w „Mieszczanach” Rysiówna i Hanuszkiewicz. Natomiast Zofia Jaroszevska, której partnerowałam w „Obcym cieniu”, uczyła mnie naturalności gry, „zdzierła” ze mnie styl rapsodyczny. Później, gdy uczyłam w szkole teatralnej, Zosia była moją koleżanką - pedagogiem, ubóstwiamym przez studentów. Wreszcie nadszedł czas Starego Teatru.

- A te ukochane, najlepiej wspomniane przez Panią role. Dużo ich było?

- Sporo, ale nie wymienię Iriny w nagrodzonych „Trzech siostrach” ani Warwary z bardzo dobrego przedstawienia, jakim był „Wiśniowy sad”. Moje ulubione role są z dwóch biegunów: Dwójra, ze „Zmierzcza” Babela w reżyserii Jarockiego, gdzie wyglądałam potwornie brzydko, bo tak mnie zozydono, i śmieszna alkoholicka z „Czarnej komedii” w reżyserii Hübnera. W swym dorobku mam 64 role.

- Aktorka o warunkach amantki nie bała się takiego oszpecaenia na scenie?

- Nie, może właśnie dlatego, że grałam sporo ról efektywnych kochanek, amantek w sztukach Szekspira, ale i Rachelę w „Weselu”, Markizę w „Niebezpiecznych związkach”. Dlatego nie protestowa-

biłam ministriptiz, czyli myłam się nago za podświetlanym parawanem, ot, takie dwa sceniczne „ekscesy”. Moją ostatnią rolą była Matka w „Kofcówce” Becketta i wtedy, w 1981 roku, przeszłam na emeryturę. To było akurat w 40-lecie mojej pracy artystycznej. Teatr o tym nie pamiętał. Tylko wspaniał mój kolega, Tadzio Łomnicki wręczył mi kwiaty.

- Była w Pani gorączka?

- Nie, choć mam świadomość, że nie zawsze obsadzano mnie w tym, o czym marzyłam. Ale narzekać nie mogłam. Poza tym miałam swoją drugą ścieżkę, „Jamę Michalika”. Byłam w niej równo dwadzieścia lat, od 1960 do 1980 roku. To też kolejna, okrągła data w moim aktorskim życiu.

- Czy występy w „Jamie” były rodzajem aktorskiej odskoczni od teatru?

- Były innym rodzajem obcowania z publicznością i lekarstwem na tamte parazytowskie czasy. Atmosfera w „Jamie” była cudowna. Śmiechem, dowcipem politycznym, nieraz bardzo ciętym, porozumiewaliśmy się z widzami doskonale. „Trędowatego” graliśmy blisko 600 razy, tłumy walały, a my czasami snobowaliśmy się na brak miejsc czy konieczność dostawek. Nocne wyjazdy, próby i spektakle w teatrze, zajęcia w szkole - to była harówka, ale jakoś wytrzymałam. Zwykle kładłam się spać o 4 nad ranem. Pamiętam, jak kiedyś nocą walczyliśmy po występach do domu. Na Floriańskiej spotykamy panią lekkich obyczajów, a one odzywają się do nas: „Witam, jak miło spotkać. Państwo już po pracy, a my dopiero zaczynamy”.

- Po pracy w „Jamie” odbywały się zapewne spotkania towarzyskie?

- Tak, w „lodówce”, jak nazywaliśmy nasze garderoby w suterenu, gdzie stały wielkie lodówki do kręcenia lodów. To były wspaniałe czasy i cudowni koledzy. Choć cenzura często nam się wtrącała, to jednak robiliśmy swoje. W 1980 roku postanowiłam odejść, mimo że napisano dla mnie świetną rolę.

- To był przecież szczyt Pani powodzenia w kabarecie.

- Właśnie dlatego, bo zawsze trzeba wiedzieć, kiedy należy zejść ze sceny. Kiedy w 1981 roku odesłano mnie ze Starego na emeryturę, nigdy już nie wystąpiłam aż do tego roku. Aktualnie gram małą rolę w spektaklu dyplomowym studentów, w sztuce Pirandella „Sześć postaci szuka autora”, którą reżyserował Jurek Stuhr, niegdyś mój student, potem rektor, teraz reżyser.

- Krakowska szkoła teatralna to kolejny, równie bogaty, rozdział w Pani życiu. Wiem, że lubi Pani młodzież, a wychowankami może się chyba szczycić?

- Młodzież uwielbiam za jej mądrość, inteligencję, święty gust. Dużo czytają, chodzą do kina. Zawsze wybieram te fil-



Zdjęcie z archiwum Haliny Kwiatkowskiej

i Stuhra, Mikołaja Grabowskiego. Mogłabym tak długo wymieniać. W czasach gierkowski młodzież nie była zbyt ciekawa. Dzisiaj wybrać 20 studentów spośród 700 kandydatów jest bardzo trudno, bo ci młodzi są naprawdę bardzo interesujący. Zawsze staram się utrzymać z nimi stosunki partnerskie.

- A ponoć jest Pani osobą zasadniczą i wyniosłą?

- Kiedyś taka byłam, bo jako córce dyrektora gimnazjum zawsze kazano mi dawać przykład innym. Byłam tak zasadnicza, że kiedy spotkał mnie podczas okupacji kolega z uniwersytetu i z krzykiem biegł, wołał: „Halinko, jak się cieszę, że cię spotykam”, to ja mu odpowiedziałam: „Nie sądzę, żeby wojna upoważniła pana do mówienia mi po imieniu”. Byłam okropna, ale na szczęście mi to przeszło. Mój mąż, Dom Literatów i właśnie młodzi „rozmiękcyli” we mnie tę zasadniczość.

- Przez rok prowadziła Pani zajęcia z „Kultury bycia”. Słyszałam, że studenci je uwielbiali?

- Bo świetnie przy tym się bawiliśmy. Chodziłam z nimi na wystawy, na kawę do „Michalika”, uczyłam, jak się wchodzi między rzędy w teatrze (nigdy pupą w stronę widza!), że kurczaka trzeba jeść nożem i widelcem... Słowem, po mojej i Ewy Otwinowskiej książce „Dama być... ba”, uczyłam ich etyki i estetyki zarówno w zawodzie, jak i w życiu. Wszystkie szkoły teatralne zazdrościły nam tego przedmiotu, ale, niestety szkoła nie ma pieniędzy i zajęcia zlikwidowano. Na za-

wypraszać, bo przecież od rana były zajęcia w szkole.

- Aktorstwo, pedagogika, pisanie sztuk teatralnych i słynne Pani podróże...

- Niezapomniany mój kolega, Zbyszek Wójcik, bardzo trafnie powiedział kiedyś o mnie: „Ty jesteś kupcowa wrażeń”. Rzeczywiście, przez całe życie „kupuję” wrażenia, bo jestem ich bardzo żłakniona. Pisanie sztuk to też przecież wspaniała przygoda. Moje i Ewy „Ogłoszenie matrymonialne” to bardzo aktualna komedijka, którą z wielkim powodzeniem grano w Warszawie, a występowali m.in. Irena Kwiatkowska i Wojciech Pokora. Spektakl zjeździł całą Polskę, a my bardzo dobrze na tym zarobiłyśmy. Kupiłam wtedy samochód.

- A podróże - zjeżdżała Pani pół świata!

- W Europie nie byłam tylko w Albanii. Ale kto wie, czy mnie tam jeszcze nie zaniesie. Podróżą mojego życia był wypad do Stanów Zjednoczonych - w ciągu 7 tygodni zwiedziłam 14 stanów, przemierzając 14.000 kilometrów. Czułam się cudownie, przeżyłam wiele. Co roku staram się gdzieś wyjeżdżać. W te wakacje wybieramy się z córką do Turcji.

- Nie myślała Pani, żeby o tych wszystkich przygodach życia napisać książkę?

- Właśnie piszę, ale to nie będzie pamiętnik, lecz zbiór refleksji dotyczących zdarzeń, których byłam świadkiem, osób, które poznałam, a zamknę wszystkie anegdotami. Książka nosi roboczy tytuł: „Ze śmietnika pamięci”.